

Wilhelm Kurz.

Konserwatorium pragskie, które wyprodukowało taką wielką liczbę muzyków i skrzypków, nie wydało w ostatnim trzydziestoleciu ani jednego pianisty o wybitnym polocie i technice — pianisty, któryby wypłynął na szeroką arenę europejskiej sztuki. Pierwszym wybitnym pianistą-wirtuozem, zbierającym laury i uznanie arystarchów krytyki europejskiej, jest Wilhelm Kurz, obecnie profesor lwowskiego konserwatorium, którego dyr. Sołtys, jako przewodniczący komisji egzaminacyjnej dla muzyki, powołał na członka komisji tej — dla gry fortepianowej.

Prof. Wilhelm Kurz (ur. w Niemieckim Brodzie w Czechach 26 grudnia 1872) uczył się muzyki w pragskiej szkole dla organistów w latach 1887—1896, a mistrzem w grze fortepianowej był mu wyborny pedagog Jakób Holfeld. Pomocnicze studia muzyczne odbywał pod kierunkiem Blažka, Skuherskiego i Knittla. Po zakończeniu w 1890 r. studiów muzycznym egzaminem państwowym na uniwersytecie pragskim, wystąpił Kurz w roku następnym po raz pierwszy publicznie w Pradze i zdobył sobie tamtejszą muzykalną publiczność wstępnym bojem.

Sukces, odniesiony w metropolii Czech, otworzył mu podwoje sal koncertowych nie tylko całego kraju.

W tym samym roku staje Kurz do konkursu imienia Rubinsteina w Berlinie i sam jeden podtrzymuje z honorem współudział w tym turnieju swych kolegów austriackich i czeskich, co ułatwiło mu wielce i przygotowało życzliwe i uznania pełne przyjęcie w Wiedniu, gdzie krytyka miejscowa nie

szczędzi wybornemu pianiście pochwał i wyrazów uznania. W r. 1896 wyjeżdża Kurz na południe w towarzystwie słynnego skrzypka Cezara Thomsona, zwiedzając Linc, Trydent, Arco i t. d.



Wilhelm Kurz.

Sława młodego pianisty czeskiego nabierała coraz więcej jaśniejszego blasku, a wziętość jego gry szła w górę na rynku transakcyj artystycznych.

Artystę naszego wzywają do współudziału w słynnym kwartecie czeskim, poczem towarzyszy

takiej artystce jak Bellincioni i t. d. Któżby zmierzył długą drogę w zygzak, jaką odbył artysta, obwożąc i produkując swój talent — któżby zdolen był policzyć perły, które hojną dłonią rozsypywał po salach koncertowych Europy środkowej.

Kiedy w r. 1898 zmarł we Lwowie śp. Władysław Wszelaczyński — jednym z najpoważniejszych kandydatów na stanowisko profesora najwyższych klas gry fortepianowej w konserwatorium lwowskim był Kurz.

I przeszłość artystyczna Kurza i chlubne świadectwa i wreszcie wysoce sympatyczna jego osobistość, zjednały niemal wszystkich członków wydziału lwowskiego Towarzystwa muzycznego do oddania głosów Kurzowi i powołania go na zaszczytne i wybitne stanowisko. Na stanowisku tem pracuje z chlubą, mając wierną towarzyszkę w swej uroczej małżonce, równie zdolnej i niepośledniej pianistce. Sympatyczna ta para żyła się z naszymi galicyjsko-lwowskimi stosunkami zupełnie, a opanawszy zupełnie język polski i otworzywszy przy swem ognisku domowym artystyczny salonik, gromadzi czysto muzykalne i sztuce oddane jednostki pod gościnnym swym dachem. Miluchne mieszkanko p. Kurzów przy ul. Zielonej bywa często widownią najszlachetniejszych zawodów artystycznych, przeznaczonych dla dusz wybranych, czujących szczerze, a umiejących na prawdę słuchać muzyki.

Na stanowisku profesora konserwatorium, cieszy się Kurz sympatją i niemal bałwochwalczem przywiązaniem licznych zastępu uczni i uczennic, tudzież szczerem uznaniem publiczności, oczekującej z niecierpliwością każdej produkcji tego wybornego pianisty.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

4 (Ciąg dalszy)

— I! niech on sobie gada, co mu się podoba! Ja tam sobie nic z tego nie robię! Chce gadać, to niech gada! Chce się odgrażać, niech się odgraża! Już to ja wiem, że jemu nie o kłusownictwo moje chodzi, tylko o to, że mnie się boi, a chętnie by sobie chciał zapolować w moim rewirze, przy Haniu! Ze służby jednak on mnie nie wypędzi, bo wie dobrze, że ja znam wszystkie jego sprawki, i pewnie bym cicho nie siedział, gdyby mi chciał jaką krzywdę zrobić! Dobrze się stało, że go na tem wyłapał, jak nocą z pańskiego spichlerza sprzedawał Lajzerowi pszenicę!...

Marcin ciekawie spoglądał na parobczaka i kiwał głową ze zdumieniem.

— No! no! — wyszeptał — jasnie wielmożny pan i złodziej! No! no!...

A tymczasem Jaśko grożąc zaciśniętą pięścią w stronę dworu, mówił dalej:

— Już ja tego łotra nauczę! ja mu pokażę, ile to pańskiego grosza i naszej krwawicy przylepiło się do jego paluchów!...

— Et! — szepnął stary wieśniak, machnąwszy dłonią z powątpiewaniem — Bóg wysoko, a pan daleko!

— Cóż wy myślicie — rzekł szybko Jaśko — że ja może pójde skarżyć na niego do sądu, albo do żandarmów? Wiem ci, że kruk krukowi oka nie wykole i że pan Giorczak dobrze żyje z tymi, co mu powinni patrzeć na ręce, więc też nie boi się ich wcale! O! nie do sądu, nie do żandarmów pójde!...

— Więc co zrobisz chłopcze? — zapytał Marcin — głową muru nie przebijesz! Daj lepiej spokój, bo takiemu panu, to trudno nogę podstawić!...

— Nie tak to znowu trudno, jak się wam zdaje Marcinie — zaśmiał się Pogórny — chwalić Boga uczyłem się czytać i pisać. Nie uczenie więc, ale po prostu, po chłopsku napiszę o wszystkim, co tu się dzieje naszemu dziedzicowi do Francji, a pewnikiem zjedzie on do nas zrobić z tym Giorczakiem porządek!...

— Dyć sprytnieś to sobie obmyślił — szepnął stary wieśniak — masz głowę na karku i pewnie nie zginiesz w świecie, ale ja jużbym dla miłego spokoju wolał, żeby się bez wszystkich onych breweryi obeszło!...

Nie skończył Marcin jeszcze mówić, gdy do

izby wszedł młody pastuszek, który powitawszy siedzących starem: „niech będzie pochwalony“, odezwał się do Pogórny.

— Słuchajcie Jaśku, pan ekonom kazali, żebyście duchem przylecieli do niego, bo ma was gdzieś posłać.

— A no, to idę! Ostańcie zdrowi Marcinie! Bywaj zdrowa Haniu!

I młody parobczak uściśnął dłoń starego pastucha, potem objął w pól zarumienioną dziewczuchę i wycisnąwszy na jej ustach dwa gorące, głośnie pocałunki, krzyknął na pastucha:

— Chodźmy Tomek! a wy ostawajcie z Bogiem!...

Słaby blask księżycy, który dopiero co zeszedł na niebie, oświetlał wąską drożkę, wijącą się wśród chałup wiejskich, która prowadziła w stronę zabudowań dworskich, gdzie w małym dworku opodał gumien mieszkał ekonom Ścibora, prawa ręka plenipotenty Giorczaka.

Pogórny rączym krokiem przybył tą drogą i stanawszy przed domkiem ujrzał na ganku Ściborę, który, emiac cygaro, trzymał list jakiś w ręku.

— Słuchajno ty Pogórny — wiem, że jesteś sprytny i prędko się sprawić potrafisz, więc chciałbym ci dać i zarobić jakie trzy papierki!...

— A no! ja na to, jak na lato! — odpowiedział nśmiechając się Jaśko — a co mam zrobić proszę łaski pana ekonomia?

— Znasz ty Moszka, tego faktora z miasteczka?

— Ktoby go nie znał! Toż on na jarmarku taki krzyk robi, że go aż żandarmi uspokajać muszą!...

— Masz więc tu list do niego. Polecisz zaraz i wrócisz mi jeszcze przed świtem z odpowiedzią, a za to masz tu trzy papierki!

— Dobrze, proszę łaski pana ekonomia!...

— Ścibora popatrzył nań bystro.

— Za pół godziny będziesz już napewne w drodze!...

— Za pół godziny? — zaśmiał się parobczak — a cóż to ja na wojnę idę, żebym się miał pół godziny wybierać? Skoczę jeno do stajni, wezmę sukmanę i dalej w drogę!...

— No! to idź z Bogiem i wracaj prędko, bo mnie na odpowiedzi bardzo zależy!...

Zaledwie Pogórny znikł z przed dworku i zginał gdzieś na skrócie drogi, z pomieszkania Ścibory ogłędnie wysunął się Giorczak na ganek.

— I cóż? — zapytał ciekawie — poszedł?!

— Naturalnie! — odpowiedział wesoło ekonom podkręcając wąż.

— Niespodziewałem się jednak, żeby ci to poszło tak łatwo. Wiem, że ten cham podejrzewa mnie, że czuje, jak chętnie bym mu przypisał

rogi. Nie myślałem więc, żeby tak łatwo rzucił dziewczkę i pójdzie do miasteczka gonić wiatry w polu!...

— E, mój kochany — rzekł na to Ścibora, klepiąc poufale po ramieniu swego towarzysza — czego to taki chłop dla trzech guldenów nie zrobi! Ręczę ci, że gdybyś mu tak tę cyfrę podwoił lub potroił, toby ci nawet samą dziewczuchę przyprowadził do domu!

— Wierzę ci, wierzę, stary łotrze, ale wolę już nie robić mu takich propozycji i nie narażać na szwank własnych kości! Po cóż zresztą on mi ją ma przyprowadzać, kiedy ja wolę sam pójść do niej — oświadczył z wesołą miną Giorczak — dla tego też wolałem, żeby go dziś nie było we wiosce, bo prawdę mówiąc, ten drab jest gotów na wszystko.

— To poprostu uwolnij się od niego! Czy to tak trudno? Masz przecie wpływy i możesz kazać go zamknąć do kryminału jako kłusownika. Gdybyś zaś nie miał na to dowodów, no — tu Ścibora parsknął szatańskim śmiechem — no, to przecie potrafilibyśmy je stworzyć!

— Masz rację! — szepnął Giorczak — być może, że ostatecznie posłucham twej rady, ale wówczas dopiero, gdy mi przyrzekniesz swą pomoc. Ty jesteś chytry, jak ten lis i musisz walczyć podstępem, potrafisz więc tę całą komedię zaaranżować tak, żeby on mnie nawet nie podejrzewał, gdyż pewnieby z zemsty wyśpiewał w sądzie wszystko, co wie o tej pszenicy i o drzewie z lasu dworskiego, a wtedy pewnie byśmy się obaj spotkali z nim we więziennej celi. Szkoda jednak teraz tracić czasu na snuciu planów wojennych przeciw temu chamowi. Ja idę i przyszlę ci tu Marcina. Pamiętaj zatrzymać go tu tak długo, aż nie wróce, no i przytem daj mu do zrozumienia, że może utracić służbę, jeśli tylko będzie wchodzić mi w drogę. Dowidzenia stary!

Obaj godni siebie przyjaciele uściśnęli się serdecznie, poczem Giorczak, ostrożnie, czając się i skradając, jak kot w polu, ruszył ku wiosce.

Tymczasem w chacie Marcina płonęło łuczywo. Hania krzątała się po izdebce, myjąc stołki kuchenne, a stary wieśniak wyciągnawszy się leniwo na ławce opowiadał dziewczynie:

— Pogórnemu znów dziś posłużyło szczęście w borze! Zastrzelił jucha największego kozła w całym rewirze i dziś pewnikiem poniesie go do Szmula. Przyniesie tobie potem znów sznur krasnych koralu, a mnie!...

— Sznur koralu? — przerwała starcowi żywo dziewczyna — czy on to wam sam mówił tatulu?...

C. d. n.